

**Dawid Kulawczuk, Tadeusz Skoczek**

Muzeum Niepodległości w Warszawie

## **Beniamin Anolik, „Pamięć przywołana. Wilno, Ponary, Klooga” (fragmenty wspomnień)**

Beniamin Anolik nie jest znany szerszemu gronu badaczy Holokaustu, chociaż napisał kilka książek, zorganizował wiele imprez upamiętniających gehennę rodaków, odbył szereg spotkań patriotycznych i edukacyjnych. Urodził się 3 maja 1926 w Wilnie. Był synem Soni i Mosze Anolika, młodszym bratem Nisana. Otrzymał staranne wykształcenie w hebrajskim gimnazjum. Kiedy 17 września 1939 roku Armia Czerwona zajęła polskie Kresy, Anolikowie uciekli na Białoruś. Niebawem rodzina powróciła do Wilna, jednak kiedy Niemcy najechali Związek Radziecki (czerwiec 1941) i utworzyli w tym mieście getto, wszyscy Żydzi zostali deportowani do wyznaczonych miejsc. Beniamin znosił trudy wileńskiego getta przez dwa lata, pracując w firmie energetycznej. Matka była opiekunką w sierocińcu, ojciec wyjeżdżał do pracy poza getto, Nisan miał zajęcie w szpitalu. Rodzina opiekowała się jeszcze ociemniałym dziadkiem. W 1943 roku Beniamin i Nisan zostali przetransportowani do obozu w Estonii. Tam spotkali ojca, który wkrótce potem został rozstrzelany. Matka też nie przeżyła niemieckiej okupacji. Przeżycia z tamtego trudnego czasu odżywają na kartach wspomnieniowej książki *Pamięć przywołana*, wydanej w niewielkim nakładzie w 1996 roku przez Oficynę Cracovia<sup>1</sup>. Wstęp do tej publikacji napisał prof.

---

<sup>1</sup> Beniamin Anolik, *Pamięć przywołana*, wstępem opatrzył Józef Andrzej Gierowski, tł. Anna Ćwiakowska, Oficyna Cracovia, Kraków 1996, ss. 179.

dr hab. Józef Gierowski (1922–2006), założyciel pierwszego w Polsce Międzywydziałowego Zakładu Historii i Kultury Żydów w Polsce.

Beniamin Anolik nazywany jest kronikarzem wileńskiego getta. Mówił w rozmowie z niżej podpisanym: „Trudno opisać to, co tam się działo. Niemcy tysiącami wywozili nas na Ponary, gdzie dokonywali masowych rozstrzeliwań. Życie ludzkie nie miało w getcie najmniejszego znaczenia”.

**Tadeusz Skoczek**

## W RODZINNYM DOMU

Działalność w Stowarzyszeniu im. Janusza Korczaka przypominała mi czasy dzieciństwa i lat młodości. Za każdym pobyt w Polsce napływały wspomnienia, przed oczami stawali moi bliscy, którzy zginęli. Zarazem ani na chwilę nie opuszczała mnie świadomość, że moje korzenie tkwią w polskiej ziemi.

Sznejer Anolik, pradziad ze strony ojca, urodził się w 1840 r. i mieszkał wraz z rodziną w miasteczku Balbariszki w pobliżu Wilna. Był oberżystą. Do spółki z jednym z braci zajmował się również handlem winem – kupowali je w beczkach, rozlewali do butelek i sprzedawali. Pradziadkowie mieli jedenaścioro dzieci.

Dziadek, Abraham Anolik, urodził się w Balbariszkach, a po ślubie zamieszkał z żoną we wsi Jazowo, również niedaleko Wilna. Miał trochę ziemi, wraz z jednym z braci był właścicielem tartaku w Nowej Wilejce, a poza tym również agentem biur podróży, pomagającym ludziom w wyjeździe do Ameryki. Cierpiał na chorobę oczu. W 1928 r. ostatecznie stracił wzrok. Sprzedał posiadłość i przeniósł się do nas, na ulicę Sadową w Wilnie. Pamiętam, jak siadywałem obok dziadka i czytałem mu na głos gazetę.

Rodzina matki, Liberchenowie, pochodziła z Charkowa. Pozostali oni w Rosji również po rewolucji bolszewickiej. Większość mieszkała w Moskwie.

Ojciec urodził się w 1893 r. Jeszcze przed wojną światową, około 1913 r., przeprowadził się do Piotrogradu. Studiował tam metalurgię. Gdy wybuchła I wojna światowa został zmobilizowany i walczył na froncie rumuńskim. Tam zastał go wybuch rewolucji październikowej. Wybrano go członkiem Żołnierskiej Rady Robotniczej swojej jednostki. W drodze powrotnej z frontu do domu utknął w Charkowie, gdzie został mianowany naczelnikiem wojskowego biura wer-

bunkowego. Potem studiował prawo na tamtejszym uniwersytecie, poznał moją matkę i ożenił się z nią jeszcze w czasie trwania wojny domowej. W 1920 roku rodzice wyjechali do Wilna w odwiedziny do rodziny ojca i już tam zostali.

Matka pracowała jako położna, nie w szpitalu czy przychodni, lecz jako pielęgniarka prywatna. Ojciec zmienił zawód – nauczył się księgowości. Nie był związany z jednym miejscem pracy – prowadził rachunki dla wielu firm i zakładów. Uczył także na kursach dla księgowych. Został nawet wybrany do Komisji Związków Księgowych. Miał dwie siostry i brata. Tania z mężem, Josefem Gorfinklem, mieli dwie córki, Lilę i Niusię. Jedna była moją rówieśnicą, druga trochę starsza. Byliśmy ze sobą bardzo zzyccy, codziennie niemal bywałem u nich. Za ich domem przy ulicy Małostefańskiej był sad, w którym spędzaliśmy długie godziny na zabawach. Druga siostra ojca wyszła za lekarza, Wołodę Pocztera i mieli syna jedynaka, Izidora, który urodził się w wiele lat po ślubie rodziców. Wszyscy zostali zamordowani w latach zagłady. Ocalał brat ojca, Szejner. Po wojnie wyemigrował do USA. W domu było nas dwóch – mój starszy o cztery i pół roku brat Nisan i ja.

Nie pamiętam byśmy kiedykolwiek opuszczali Wilno, z wyjątkiem wakacyjnych wyjazdów na wieś. Rodzice wynajmowali tam dom, położony nad strumieniem, gdzie była również plaża. Miejscowi utrzymywali się właśnie z wynajmowania mieszkań w czasie wakacji. Matki przyjeżdżały z dziećmi na całe wakacje, ojcowie zaglądali tylko w końcu tygodnia. Chodziliśmy do lasu, wylegiwaliśmy się na hamakach, kąpaliśmy w rzece, czytaliśmy, opalaliśmy się, oddychaliśmy zdrowym powietrzem. Wieczorem panie grywały w karty. W pobliżu stały cygańskie tabory, a cyganki wędrowały po domach i wróżyły z kart. Niekiedy matkę wzywano do któregoś z wczasowiczów, który nagle zachorował.

W Wilnie naprzeciwko naszego domu była „Tuszija” („Mądrość”), hebrajska szkoła religijna – podstawowa i średnia w tym samym budynku. Tam uczyliśmy się, mój brat i ja. Wpływ tradycyjnego wychowania w szkole bardziej był widoczny u brata niż u mnie. W pewnym okresie brat starał się zmusić nas wszystkich do pedantycznego przestrzegania kosztownych zwyczajów żywnościowych i zwyczajów religijnych.

W zasadzie u nas w domu przestrzegano nakazu koszerności, chociaż niezbyt skrupulatnie. Jeśli idzie o mnie, to nauki religijne

Chumaszu, Miszny, Talmudu wydawały mi się nazbyt oschłe. Natomiast przeżyciem była nauka języków, nawet łaciny. Ale ze wszystkich najbardziej przemawiały do mego serca lekcje polskiego.

Dzieciństwo moje upłynęło zresztą pod znakiem czterech języków. Rodzice mówili między sobą po rosyjsku, z sąsiadami po polsku, w szkole językiem wykładowym był hebrajski, a w czasie przerw rozmawialiśmy po polsku i żydowsku. Gdy byłem w getcie, pisałem w języku rosyjskim.

W domu obchodziliśmy święta oraz szczególne uroczyste dni, np. urodziny. Przed dniem moich urodzin chodziłem zapraszać kolegów na przyjęcie. Po południu była to impreza dla dzieci, a wieczorem – dla rodziców, krewnych i przyjaciół.

Seder Pesach (wieczera w wigilię święta Paschy) odbywał się u nas w domu. Dziadek siedział u szczytu stołu, a tradycyjnym prowadzeniem obrządku kierował ojciec. W szabat chodziło się z wizytami do krewnych i znajomych, albo oni przychodzili do nas. Do synagogi chodziliśmy właściwie tylko w święta. Bywaliśmy w dwu: w bożnicy szewców (nie wiem, dlaczego tak ją zwano) mieliśmy swoje stałe miejsca, a w synagodze „Tora Szul” („Synagoga Tory”) modliliśmy się w jesienne święta Nowego Roku i Sądneho Dnia. Tam też odczytałem tradycyjne wersety z Tory gdy doszedłem do wieku „Bar Micwa”, czyli ukończyłem 13 lat. Urządzono mi trzy przyjęcia z tej okazji: najpierw tuż po uroczystości w synagodze świętowaliśmy wraz ze wszystkimi uczestnikami modlitwy na miejscu, razem z całą kadrą, która zaszczyliła mnie swoją obecnością. Następnie – przyjęcie dla rodziców krewnych i przyjaciół.

Żyłem niczym na żydowskiej wyspie. Dom, w którym mieszkaliśmy, zajmowało 60 rodzin – wszystkie żydowskie.

Antysemityzm? Pamiętam raczej atmosferę niż fakty, choć np. dużo się u nas w domu mówiło o wypadkach – dwóch bodajże – ciężkiego pobicia i zranienia żydowskich dzieci przez polskich wyrostków. Pisały o tym w owym czasie żydowskie gazety. Największy strach wzbudzali polscy studenci. Gdy szli gromadą chodnikiem – można ich było z daleka rozpoznać po czapkach – schodziłem przodem na bok. Pamiętam też mnożące się w ostatnich latach przed wojną napisy na sklepach „Firma chrześcijańska”. A przez Ostrą Bramę chyba nigdy nie odważyłem się przejść. Również ojca w pracy traktowano inaczej, niż gdyby był gojem.

We wrześniu 1939 roku Rosjanie weszli do naszego miasta. Język rosyjski znaleźliśmy. Z kulturą rosyjską byliśmy obcy. Przede wszystkim otworzyła się możliwość kontaktu z rodziną matki, a także z rodziną ojca, z którą do tej pory listowny kontakt nie był możliwy. Ojciec awansował w pracy o jedną grupę. Dla Żydów zaistniały niedostępnie przedtem możliwości w dziedzinie zawodowej i społecznej. Moje wrażenie – było to uczucie ulgi spowodowane brakiem dyskryminacji.

W 1940 roku gdy Wilno i okolice zostały włączone do Litwy, która już wtedy była poddana sowieckim wpływom, władze zaproponowały ojcu kierowanie sprawami finansowymi w Urzędzie Skarbowym w miasteczku Postawy na Białorusi. W ślad za ojcem i my tam przeniesiliśmy się. Po pół roku przeniesiono ojca do innego miasta w tej samej republice, do Klecka. W ten sposób około roku chodziłem do sowieckiej szkoły.

Rejon, w którym mieszkaliśmy, to były przedwojenne kresy, na granicy Polski i Związku Radzieckiego. Polacy po odzyskaniu niepodległości sprowadzili tu osadników, aby strzegli ojczystych granic. Nas umieszczono właśnie w domu takiego osadnika. Właściciel domu był kierownikiem działu w urzędzie, na czele którego stał mój ojciec. Nie była to prosta sytuacja, ale stosunki między dwoma rodzinami układały się dobrze. Ja lubiłem bawić się z córkami gospodarza, a ojciec wiedząc, że NKWD masowo aresztuje polskich osadników, zapewniał zwierzchników, że bardzo potrzebuje go w pracy.

Pewnego dnia, późnym wieczorem zauważyliśmy, że NKWD otoczyło nasz dom. Ojciec spalił wówczas jakieś papiery. Enkawudziści wpadli do mieszkania, pytając co tu zostało spalone. Ojciec wskazał na leżącego już, na szczęście, w łóżku brata i zaczął wyjaśniać, że to atak ślepej kiszki i trzeba było zapalić w piecu, żeby zagrzać ciepłej wody... Tej samej nocy aresztowali naszego gospodarza. Jego żonę i dwoje dzieci wywieziono.

Gdy Wilno zostało włączone do Związku Radzieckiego – wróciliśmy. Poszedłem znowu do szkoły. Nie była to już oczywiście szkoła religijna. Nie wiedziałem, że są to ostatnie już miesiące mojego uczniowskiego życia. Miałem 15 lat. 22 czerwca 1941 roku Niemcy napadli na Związek Radziecki. Burza, wzniecona przez tę napaść wyrwała nas – jak wielu innych – wraz z korzeniami z naszej ziemi i nie do poznania odmieniła całe nasze życie.

## Burza

Niemieckie wojsko wkracza do Wilna. Stoję w bramie naszego domu i przyglądam się. Nasz gospodarz, Żyd, któremu Sowietci upaństwowili dom, stoi obok mnie i obserwuje posuwające się pojazdy, a jego twarz wyraża nadzieję, że teraz wszystko wróci do poprzedniego stanu i dom zostanie mu zwrócony.

Niemcy weszli do naszej sieni w poszukiwaniu siły roboczej. Ojciec już wcześniej pouczył nas, że jeśli zjawią się Niemcy, to mężczyźni mają wyjść z mieszkania tylnymi drzwiami. Rzeczywiście. W ten sposób często udawało się wymknąć z łapanek organizowanych przez Niemców, a najczęściej przez Litwinów. Nawiasem mówiąc, wtedy dopiero dowiedziałem się o istnieniu Litwinów – wcześniej nie tylko nigdy ich nie widziałem, ale nie słyszałem nawet, że istnieją.

Ogłoszono rozporządzenie o obowiązku noszenia żółtej łaty. Nasze wartościowe rzeczy matka oddała na przechowanie „do końca wojny” naszej przedwojennej pomocy domowej i jej mężowi.

Ciągle wyłapują Żydów do prac przymusowych. Jeden z wujków pracował w miejscowości Resza. Była to odkrywkowa kopalnia torfu, której właścicielami byli znajomi wujka. Załatwiliśmy z nimi pracę, unikając w ten sposób pracy przymusowej. Mieszkaliśmy w chłopskiej zagrodzie, jedzenia nam nie brakowało, a praca nie była zbyt ciężka. Mama, Nisan i większość dalszej rodziny została w mieście.

Tymczasem wydano rozporządzenie o utworzeniu getta. Ponieważ byłem w Reszy, nie przeniosłem się początkowo do getta, co stało się udziałem mamy i Nisana. My z ojcem przenieśliśmy się tydzień później, kiedy nie można już było dłużej pozostać na aryjskiej stronie. Nisan pracował w tym czasie jako księgowy w żydowskim szpitalu. Mama zaczęła pracować w domu sierot dla niemowląt. Znaleźli pokój w bloku pracowników żydowskiego szpitala przy ul. Szpitalnej 7. W mieszkaniu pozostał dotychczasowy lokator wraz z rodziną (matka, żona i pięcioro dzieci), potem dokwaterowano jeszcze doktora Leo Baranowskiego – psychiatrę i jego matkę, doktora Naftalego Reznika z matką oraz naszą rodzinę. Nam wydzielono mały, przechodni pokoik. Spało się w każdym kącie, nawet na stole.

Ojciec już wtedy pracował przymusowo u Niemców jako robotnik, a ja uczyłem się w żydowskiej szkole. A ponieważ miałem więcej czasu niż inni członkowie rodziny, stałem w kolejkach po żywność,

gotowałem, paliłem w piecu. Dzięki miejscu pracy mojego brata zostaliśmy włączeni do grupy otrzymujących posiłki w szpitalu. Codziennie dostawaliśmy po porcji zupy z kulka mielonego mięsa na osobę.

W getcie powstał Klub Młodzieży. Pełnił w naszym życiu ważną rolę. Skupiała się wokół niego młodzież mówiąca po żydowsku. Zebrała się również grupa mówiących po hebrajsku. Oficjalnie nazwa klubu brzmiała: „Kinder un jungend Klub” – „Klub dzieci i młodzieży”. Mieścił się w lokalu który wyporządkaliśmy własnymi rękami. Była tu duża sala, a obok kilka mniejszych pokoi. Kierownikiem klubu był dr Leo Bernsztajn. Wśród naszych instruktorów znajdowali się poeci Abraham Suckewer i Aba Kowner. Przewodniczącym został Awrejml Żeleznikow. Mój rozkład dnia przez prawie pół roku był następujący: rano – szkoła, po południu – prace domowe, wieczorem – klub.

W klubie działały różne kółka zainteresowań: historii żydowskiej, literatury jidysz, języka hebrajskiego. Mieliśmy chór oraz kółko dramatyczne. Oba zespoły dawały występy publiczne. Była też gazetka ścienna „Cwiszn went, doch jung” („W murach, lecz młodzi”). Byłem członkiem redakcji tej gazetki. Pracowałem również w kółku badania dziejów getta, na czele którego stał historyk, Herman Kruk. On opracował ankietę, a my – 6 członków kółka – chodziliśmy do mieszkańców getta celem jej wypełnienia.

Zapisywaliśmy, co się działo w getcie, np. zeznania świadków o przeprowadzonych tzw. akcjach, o stratach w rodzinach w skutek represji itp. Ankiety te następnie pokazywaliśmy instruktorowi naszego kółka, który na ich podstawie opracowywał analizy. W naszej grupie pracował też Icchak Rudaszewski, który pisał w getcie dziennik. Po latach dziennik ten został odnaleziony i następnie wydany w Izraelu nakładem Domu Bojowników Getta. Pisanie dziennika było trochę sprawą panującej wówczas wśród młodzieży mody. Ja również pisałem dziennik, po rosyjsku. Notowałem tam na bieżąco wszystko, co się wydarzyło w życiu moim i mojej rodziny. Do aktywnych członków klubu należał pieśniarz ludowy Szmerke Kaczergiński. Przychodził do nas również poeta Hirszke Glik, autor „Pieśni partyzantów żydowskich”, którą przytaczam poniżej. Młody poeta z Wilna, zaczął pisać w wieku 13 lat. Pisząc w getcie „Pieśni partyzantów żydowskich” miał lat 21. Rok później zginął podczas ucieczki z obozu w Estonii. Pieśń stała się hymnem bojowników i śpiewana

jest do dziś na uroczystościach i spotkaniach ocalałych mieszkańców gett.

### PIEŚŃ PARTYZANTÓW ŻYDOWSKICH

Nie mów nigdy, że to twój ostatni krok,  
Dni podobne kryje w sobie ciemny mrok,  
Jeszcze przyjdzie dzień stęskniony naszych snów,  
I zadudni krok nasz: my jesteśmy znów!

Od ziem palmowych, aż po kraj, gdzie wieczny śnieg  
Bólem naszym milionowym jęczy wiek,  
Tam, gdzie padły ślady umęczonej krwi,  
Mocą naszą wstanie życie nowych dni.

Jutrzienka złota nam rozświetli każdy dzień,  
Przeszłość zniknie z wrogiem, jak koszmarny sen,  
A jeśli słońce zwlecze świt i złoty wschód,  
Niech hasłem pieśń to będzie aż po wszystkich ród.

Krwią z naszych serc zroszony jest ten śpiew,  
To nie jest pieśń ptaszyny pośród drzew,  
Walcząc z wrogiem pośród padających wrót  
Z wiarą w jutro śpiewał słowa te nasz lud.

Więc nie mów nigdy, że to twój ostatni krok,  
Dni pogodne kryje w sobie ciemny mrok,  
Jeszcze przyjdzie dzień wytęsknionych naszych snów,  
I zadudni krok nasz: my jesteśmy znów!

Urządzaliśmy spotkania z okazji świąt, było tam dużo śpiewania – próba oderwania się od straszliwego położenia, w jakim byliśmy w getcie. Codzienna rutyna przerywana była od czasu do czasu przez „akcje”: wysiedlenie części spośród mieszkańców getta. Niemcy przeprowadzali u nas trzy duże akcje. Przed pierwszą z nich ogłoszono, że każdy ma się stawić w miejscu pracy głowy rodziny wraz z zaświadczeniem o pracy. Stawiliśmy się na rozkaz i czekaliśmy cały dzień. Gdy wreszcie dostaliśmy pozwolenie powrotu, okazało się, że tymczasem zabrano z getta wszystkich tych, którzy nie mieli zaświadczenia. Innym razem ogłoszono, by wszyscy posiadacze zaświadczeń pracy przeszli do małego getta, które opustoszożono już



z mieszkańców. Nasza rodzina liczyła w tym czasie wiele osób: ojciec, matka, Nisan i ja, dwie ciocie, wujek, ich dzieci – razem pięćcioro, oraz stary, niewidomy dziadek.

Zrozumiałe że dla dziadka nie było ani pracy, ani zaświadczenia pracy. Przy przechodzeniu do małego getta powstał problem jak go ukryć? Ktoś z nas wpadł na pomysł: aby gdy zbliżymy się do bramy, otoczyć gęsto dziadka całą grupą i równocześnie podać zaświadczenia, tak żeby odwrócić uwagę strażników. Fortel się udał. Dziadek pozostał z nami. W małym getcie byliśmy trzy dni. W tym czasie wywieziono pozostałych mieszkańców.

Początkowo myśleliśmy, że wywożą ich do innego miejsca osiedlenia, czy do obozu pracy. Znacznie później dopiero zrozumieliśmy, że zostali zabrani do Ponar, na zagładę. Długo w to zresztą nie wierzyliśmy. Nie wierzyliśmy nie tylko pogłoskom. Nie wierzyliśmy również świadkom – myśleliśmy, że to ludzie, którym nadmiar nieszczęść pomieszał rozum, że oszaleli. Byli i tacy – pamiętam kobietę, która rzeczywiście zwariowała, chodziła po getcie i wykrzykiwała coś o Ponarach. Ale inni byli normalni, a my traktowaliśmy ich tak samo...

Któregoś dnia w lipcu 1943 r. usłyszałem, że Icyk Witenberg jest w ruchu oporu przeciwko hitlerowskiej okupacji. Opowiadali, że przed wojną był szewcem, działaczem partii komunistycznej, a teraz w getcie stanął na czele podziemnej organizacji. Widywałem go wiele razy w getcie. Pracował w łaźni, zajmował się dezynfekcją odzieży. O istnieniu podziemia słyszałem niejasne aluzje członków klubu. Byłem za młody, żeby mnie wprowadzono w tajemnice organizacji podziemnej. Ale bardzo chciałem wstąpić w jej szeregi. Czytałem swego czasu książkę Franza Werfla „Czterdzieści dni Musy Daga”. Wielkie wrażenie zrobił na mnie duch walki i bohaterstwo Ormian w ich oporze przeciwko tureckiemu wrogowi.

Przypuszczałem, że znajdę drogę do organizacji przez kolegę, Izia Nieczuńskiego, który poszedł do lasu, ale zachorował i wrócił do Wilna. Leżał w szpitalu, w którym pracował mój brat, mogłem więc go odwiedzić. Pewnego dnia zabrałem trochę żywności i poszedłem do niego, ale nie udało mi się z nim porozmawiać ani zdobyć żadnych informacji.

Rozeszła się pogłoska, że jeden z członków podziemia, który nie był Żydem, wydał Witenberga Gestapo. Niemcy przekazali sprawę komendantowi żydowskiej policji w getcie, Gensowi, który w okresie

okupacji radzieckiej pracował jako księgowy razem z moim bratem. Gdy Niemcy mianowali go komendantem, zaproponował mojemu bratu wstąpienie do policji. Nisan kategorycznie ofertę odrzucił.

Gens zaprosił do swojego biura przywódców podziemia – tych, których znał, wśród nich i Witenberga. Po co? Jasne, ażeby przekazać im żądanie Niemców. W pewnej chwili weszli do biura dwaj litewscy policjanci i aresztowali Witenberga. W drodze do niemieckiej komendatury napadli na nich członkowie organizacji i odbili swojego przywódcę.

Gens natychmiast zwołał mieszkańców getta na dziedziniec Judenratu przy ulicy Rudnickiego 6 i oświadczył, że jeżeli Witenberg nie zostanie natychmiast doprowadzony do Gestapo, to wszyscy mieszkańcy getta zostaną zgładzeni.

– Decyzja należy do was: 1 albo 20 000! – krzyczał Gens.

Jak opisać w słowach uczucie zgrozy, jakie ogarnęło ludzi po takim ultimatum? Obecni niemal jednocześnie orzekli, że należy wydać Witenberga, żeby ocalić getto. W tragicznej atmosferze po owym ultimatum Witenberg postanowił zastosować się do decyzji sztabu organizacji i uniknąć w ten sposób bratobójczej walki. Słyszałem to z ust niektórych bojowników getta. Szczegóły na temat posiedzenia sztabu organizacji podziemnej nie są znane do dzisiaj. Mówiono, że zanim udał się w drogę do Gestapo, zaopatrzył się w cyjankali. Popołniając samobójstwo, uniknął tortur w śledztwie i obawy, że nie wytrzyma i wyda swych towarzyszy. Jeśli zaś idzie o Gensa, to wysłuchiwanie się Niemcom nie uratowało mu życia – również i jego zabili.

## Obozy pracy w Estonii

W ramach działalności w klubie zdążyłem przejść w getcie trzymiesięczny kurs elektrotechniczny i dostałem pracę poza gettem. Był to litewski zakład produkujący oprzyrządowanie elektryczne: kontakty, wyłączniki, gniazdko, wtyczki i różne wyroby bakelitowe. Część czasu spędzałem przy sztancy, część jako pracownik elektryka. Mój wuj pracował tam jako główny księgowy i Niemcy nigdy nie dowiedzieli się, że zajmował aż tak wysokie stanowisko. W sumie pracowało nas sześciu Żydów i możliwe, że ta niewielka liczba sprawiła, iż wychodziliśmy i wracaliśmy do getta prawie bez stałej straży. Dzięki temu można coś było kupić, sprzedać, przynieść do getta żywność czy trochę węgla.

Zdarzyło się, że w zakładzie przerwano dopływ prądu. Majster, który pracował przy tokarce, kazał mi ją kręcić ręcznie, jak mi się zdaje, nie robiłem tego wystarczająco szybko i wtedy wymierzył mi potężny policzek. Pracował ze mną kolega – nawiasem mówiąc, jego brat z polecenia podziemia był policjantem w żydowskiej policji – i widział co się wydarzyło. Z czasem i on trafił do partyzantki. Gdy wojna się skończyła ów kolega powrócił i stwierdził, że zakład dalej pracuje, tyle że na potrzeby Sowietów i ten sam człowiek nadal jest majstrem. Kolega bardzo się rozgniewał, podszedł do niego, wymierzył mu policzek i powiedział:

– To za policzek, który wyciąłeś Anolikowi, pamiętasz?

Do getta nadeszły wiadomości i listy z obozów pracy w Estonii, że żyje się tam dość dobrze. Nie wszyscy wprawdzie uwierzyli, ale życie w getcie było z każdym dniem trudniejsze do wytrzymania i ludzie czepiali się każdej nadziei.

3 września 1943 r. znów akcja. Biegnę do szpitala. Brat chowa mnie w magazynie odzieży chorych. Zakopuję się w stertach ubrań. Niemcy wchodzą do szpitala i rozkazują aby cały zespół zebrał się na podwórku. Ustawiają ludzi w szeregi i informują, że wywożą ich do Estonii. Gdy próbują przeszukać pomieszczenie, w którym się ukrywam, Nisan mówi im, że ta sterta ubrań należy do zakaźnie chorych. Wycofują się z przerażeniem.

Personel szpitala zostaje zaprowadzony na plac obok bramy getta. Ledwo żywa przybywa mama i wydobywa mnie z kryjówki. Ulice są opustoszałe. Wszystko pozamykane na kłódki i skoble. Tak jakby w getcie nikogo nie było. Mama daje mi plecak i mówi:

– Idź do Nisana. Razem będzie wam lepiej.

Spieszę się. Udaje mi się dostać do bramy i wsiąść do ostatniej z ciężarówek, które odwożą pracowników szpitala na stację kolejową. Spotykam w niej Nisana. W tym pośpiechu nawet nie pożegnałem się z mamą jak należy. Czekamy. Każą nam wsiadać do wagonów towarowych. Straszna ciasnota, małe okienko zakratowane kolczastym drutem i jeden nocnik na wszystkich.

Jechaliśmy bez przerwy trzy doby. Pociąg mijał spokojne wioski. Wyglądały jakby na świecie nie było wcale wojny. Nie mogliśmy się nadziwić – jak możliwy jest taki spokój. Marzyłem, że po wojnie i ja będę tak spokojnie żył.

Przybyliśmy do Estonii. W tym małym kraju Niemcy utworzyli dziesiątki obozów pracy. Ich więźniami w większości byli Żydzi.

Ja przebywałem w sześciu takich obozach. Patrząc wstecz, okazało się że myśl mamy, by wysłać mnie razem z bratem, była pomysłem, który się sprawdził.

Wyładowano nas w miejscowości Wajwara. Obóz był ogrodzony, w środku kilka baraków. Spotkaliśmy nielicznych Żydów zabranych z Wilna w poprzednich akcjach. Powiedzieli nam, że jest to obóz przejściowy. Od razu na wstępie kazano nam oddać wszystkie rzeczy. Jeśli ktoś nie wykonał polecenia – strzelano bez dalszych dyskusji. Przydział żywności obejmował trzy kromki chleba dziennie, wodnistą zupę i kawałek margaryny – tak śmierdzącej, że nie odważyliśmy się jej skosztować. Pierwszy raz w życiu widziałem takie jedzenie.

W porównaniu z gettem, położenie było o wiele gorsze. Głód stawał się z każdym dniem coraz bardziej dokuczliwy. A za każde najdrobniejsze wykroczenie – dzień bez jedzenia.

Po dokonaniu segregacji przeniesiono nas po kilku dniach do innego obozu – Wiwikani. Tu przebywaliśmy około miesiąca.

Cały obóz był pograżony w grząskim błocie. Komendantem był Niemiec. Także niewielka część kadry obozowej składała się z Niemców, ale większość strażników to byli Estończycy.

Zmorą wszystkich niemieckich obozów koncentracyjnych były tzw. „apele” – tortury trwające 3–4 godziny dwa razy dziennie, tortury wczesnym rankiem, przed wyjściem do pracy i przed wieczorem, po powrocie z pracy. Musieliśmy stać na baczność i na komendę raz za razem wkładać i zdejmować czapki. Skrupulatnie nas liczono i jeden z więźniów składał raport Niemcom.

Karano nas biciem. Karany musiał głośno liczyć każde uderzenie. Czasem przywiązywano więźnia do drzewa i zostawiano na estońskim mrozie na wiele godzin. Była też specjalna „kanapa” – kłoda, rodzaj dyb, w których mocowano ręce i nogi. Jedna niedziela w miesiącu była wolna od pracy, ale ten wolny dzień strażnicy wykorzystywali, by znęcać się nad nami.

Z Wiwikani przeniesiono nas do Auwere. Obóz ten leżał niedaleko dawnej rosyjskiej granicy, na odludziu, pośród błot, w których można było ugrzęznąć po kolana, a mimo to stale brakowało wody. Bywało, że wodę przeznaczoną na zupę grzano po to, żeby się w niej umyć. Mężczyźni myli się razem z kobietami. Potem staliśmy nago na mrozie. Nic dziwnego, że wielu więźniów umierało.

Mieszkał w wielkim baraku, mieszczącym 300–400 więźniów. Prycze były trzypiętrowe. Ogolono nam głowy w charaktery-

styczny sposób, pozostawiając od czoła do tyłu głowy tzw. „ścieżkę wszy”. Ta szczególna fryzura miała ułatwić schwytywanie zbiegłych więźniów. Każdy z nas miał swój numer, wypisany na kawałku płótna i przszyty w dwóch miejscach: na piersi i nad kolanem. Ja miałem numer 819. Zamiast własnych ubrań dostaliśmy pasiaki z ciemnego materiału. Przez większość czasu głodowaliśmy. Do końca życia nie zapomnę tamtych dni, w których moje myśli krążyły tylko wokół dwóch tematów: co z matką i ojcem oraz kiedy będę miał kawałek chleba w ustach? W mojej wyobraźni kłębiły się góry gorących bułeczek i pachnące jajecznice.

Pracowaliśmy przy wycinie drzew albo przy układaniu torów kolejowych, czy usypywaniu wałów pod te tory. Kobiety harowały razem z nami. My z bratem byliśmy zawsze w tej samej grupie. Podczas jednej z takich prac poza obozem – parę kilometrów od niego brat wymknął się do lasu, gdzie znalazł estońską rodzinę mieszkającą w samotnie stojącym domu. Przyjęli go bardzo serdecznie. Mówili po rosyjsku. Potem zabierał i mnie. Pozwalali nam się ogrzać, umyć w balii, dali nam coś ciepłego do zjedzenia. Oczywiście nie płaciliśmy. Skąd mielibyśmy brać pieniądze? Oni też nie żądali. Po prostu dobrzy ludzie. Widać z tego, że nie pilnowano nas nieustannie, zresztą dokąd można było stamtąd uciec?

Ale było różnie, mój wujek, Szneur Dunski, był obozowym grabarzem. Zmarłych chowano poza obrębem obozu. Grabarz wychodził ze zwłokami i wracał, gdy je pogrzebał. Widać nie pilnowali go zbyt skrupulatnie, lub przynajmniej tak sądził, bo postanowił wykorzystać te okazje w celu zdobycia żywności. Pewnego razu przyłapano go na tym w bramie i zastrzelono na miejscu. Słyszałem ten strzał. Byłem wtedy w izbie chorych. Dopiero później dowiedziałem się, że zastrzelili mojego wuja.

Leżałem w izbie chorych, bo zachorowałem na tyfus. Panowała epidemia. Nie wiem dlaczego położyli nas w izbie chorych, a nie zabili. Jak tylko pojawiły się pierwsze plamy, chorych izolowano. Wydaje się, silni umierali szybciej od słabych. Na ogół ludzie przestawali chorować w obozach, ale epidemia to inna rzecz. W naszych oczach leżenie w izbie chorych oznaczało znalezienie się w rajku, choć i w tym czasie odnoszono się do nas jak do podludzi. Za każdym razem, gdy Niemiec wchodził do izby, chorzy musieli wyprostować się w łózkach. Ale gdy gorączka opadła, chorzy dostawali większe porcje jedzenia, żeby się wzmocnić. Większe o kromkę chleba.

Zwykle, gdy dostawaliśmy porcję chleba wieczorem, zastanawiałem się na ile części można ją podzielić, żeby wystarczyła na cały dzień. A może zjeść ją od razu i na chwilę zapomnieć o bólach głodowych? A może podzielić na dwie części, lub na trzy? Przeważnie udawało mi się zdać egzamin: zjadałem tyle i wtedy, kiedy zaplanowałem.

W obozie, podobnie jak w getcie, pisałem dziennik, który również zaginął. Pewnego dnia postanowiono obóz zlikwidować. Znów przenosiny do innego, do Kiwoli. Wyrusza w drogę około dwustu ludzi. Idziemy na piechotę. Rzeczy estońskich strażników załadowano na furmankę, do której my zostaliśmy zaprzężeni. Jest zima. Drogę pokrywa śnieg. Grzęźniemy w nim, dusimy się w nim, śpimy na nim. Sto kilometrów męczarni. Jestem coraz słabszy, wciąż jeszcze nie wyzdrowiałem po tyfusie. Idę i ślaniam się, wlokę się i przystaję. Wiem, że do opiesziałych strzelają, ale już więcej nie mogę. Zrozumiał to Nisan. Ostatnie kilometry niósł mnie na rękach. Uratował mnie w ten sposób. Szliśmy tak dzień i noc i jeszcze jeden dzień, aż dotarliśmy do celu.

Moja pierwsza praca polegała na wydobywaniu materiału opałowego, rodzaju węgla. Wychodziliśmy z obozu w góry i tam kopaliśmy. Stamtąd był on przewożony wagonikami do miejsca przeznaczenia. Israel Ciepelewicz – żydowski komendant obozu, przyzwolony człowiek, robił co w jego mocy żeby pomagać a nie przeszkadzać. W końcu Niemcy go zamordowali.

W obozie byli przede wszystkim ludzie samotni, bez rodzin. Mężczyźni i kobiety. Mężczyźni mieli wolny wstęp do baraku kobiecego. Było tu wielu deportowanych z Wilna, również wszelkiego rodzaju męty społeczne, kryminaliści. Część więźniarek pragnęła mężczyzn również – choć nie tylko – dla uzyskania pewnego poczucia bezpieczeństwa, a ludzie ze świata przestępczego wykorzystywali tę sytuację dla swojej przyjemności i traktowali je jak swoje nałożnice. Ale muszę powiedzieć, że zdarzali się między owymi kryminalistami również tacy, którzy gotowi byli pomagać innym.

W tym obozie spotkaliśmy także rosyjskich jeńców wojennych. Kontakt z nimi mieliśmy tylko przy pracy, gdyż mieszkali w oddzielnych barakach. Byli także Cyganie, niemieccy Żydzi i polskie prostytutki.

Przez pewien czas pracowałem w kantynie. Obok niej mieszkali niemieccy inżynierowie wraz z rodzinami. Do moich obowiązków należało między innymi przygotowanie dla nich drewna na opał.

Sprzątaczkami w domach inżynierów były żydowskie więźniarki. Niemieckie kobiety odnosiły się do nas z demonstracyjnym okrucieństwem, natomiast, zdarzało się czasem słyszeć słowa otuchy od ich mężów. Niemcy też dostawali przydziały chleba. Chowali go do szuflad obok łóżek. Niekiedy w czasie pracy wyciągałem stamtąd kromeczkę, tak, żeby nie spostrzegli braku.

Pomiędzy więźniami różnych obozów istniał przemyślna sieć łączności. Pewnego dnia wyznaczono mnie do rozładowywania drewna z wagonów. I tutaj niesamowite odkrycie: na kłocach drewna wyryty napis, a [na] worku z wiórami – lista nazwisk ludzi, z zaznaczeniem miejsc, w których się znajdują w trakcie sporządzania spisu, skąd przybyli i gdzie ich mają wysłać. Oczywiście pospiesznie szukają znajomych imion, nazwisk i nagle – czy to możliwe? Nazwisko mojego Ojca! To była lista Żydów, z obozu Klooga. Jak się tam dostać?

W maju 1944 ogłoszono, że potrzeba stu fachowców do pracy w obozie Klooga. Mój brat i ja szybko się zgłosiliśmy. Ja oczywiście jako technik-elektryk.

## Obóz SS Klooga i inne miejsca

Ojciec przebywał w Klooga już od września 1943 roku. Trudno go było poznać. Miał dopiero 50 lat, a wyglądał jak starzec. Pochyłony, poorany zmarszczkami, cierpiący na kurzą ślepotę. Razem z nim był wujek Wołodia Poczter. Od nich usłyszeliśmy, że getto już nie istnieje. A matka?

To był najgorszy z obozów, w jakich przebywałem. Cały otoczony drutem kolczastym. Stały tu dwa główne budynki: blok kobiecy i blok męski, a obok każdego z nich plac apelowy. W naszym bloku były dwie duże sale na około 300 więźniów każda, a obok mniejsze pokoje. Spaliśmy na drewnianych, trzypiętrowych pryczach. Było tam 2500 więźniów – młodych, starych, mężczyzn i kobiet. Jedzenia mało i okropne. Praca – katorżnicza.

Pracowałem przy wylewaniu betonowych kolumn, długich na około 4 metry. Były okropnie ciężkie. Ruszyć i podnieść – dosłownie wrywało flaki. Kolumny służyły do wzmacniania bunkrów. Nic dziwnego, że Niemcy byli tą pracą żywotnie zainteresowani.

W lipcu 1944 wyprowadzono nas na coś w rodzaju wycieczki nad morze, jakieś dwa kilometry od obozu. I oto my, brudni, zawsza-

wieni, ropiejący, którzy nie obcinaliśmy paznokci od czasu przybycia do obozu, chlapiemy się w wodzie, wdychamy pełną piersią powietrze i wygrzewamy się na słońcu. Z ciężkim sercem wychodzimy z wody, by powrócić do obozu, do twardych, zimnych prycz, do wylewania betonu. Powiedziałem sobie, że jeśli wyjdę stąd żywy, to znak, że pozostanę już przy życiu i wojna wkrótce się skończy.

Przez cały czas byłem głodny, ale nie poniżyłem się do żebrania o trochę jedzenia i – na moje szczęście – nie paliłem. Pamiętam jak w Auwere więźniowie rzucali się na wypluwane przez Niemców niedopałki, jak pracowali jak opętani bo temu, kto pierwszy skończy, Niemiec obiecał papierosa, a potem dotrzymywał obietnicy albo nie.

Pewnego dnia na apelu zapytano, kto chce przejść do innego obozu. Mój brat miał teorię, która zakładała przenoszenie się z miejsca na miejsce. Poruszać się, być w drodze jak najdłużej się da – to miało ułatwić przeżycie. Dlatego zgłaszamy się na ochotnika – ojciec, brat i ja. 22 sierpnia przewieziono nas do obozu o nazwie Lagedi. Nie wiedzieliśmy, że rozdział Klooga jeszcze się dla nas nie zamknął.

Lagedi to też odludne miejsce, położone wśród pól i lasów. I chociaż tam spędziliśmy tylko trzy tygodnie, był to dla nas znaczący przystanek: w tym miejscu rozstaliśmy się z ojcem.

Gdy przybyliśmy na miejsce, oczekiwało na nas w bramie około 100 weteranów obozowych. Powiedzieli nam, że obóz przeszło już wiele „turnusów” więźniów żydowskich. Prawdopodobnie został wybudowany przez samych więźniów. Spotkaliśmy tam Hermana Kruka, naszego nauczyciela i wychowawcę klubu młodzieżowego w wileńskim getcie, tego, który uczył nas zbierać dane. Kruk nadal pisał dziennik i sześćosobowej grupie świadków, wśród nich był Nisan, pokazał miejsce, w którym go ukrywał, oraz prosił, by ten, który zostanie przy życiu, po wojnie wyciągnął notatki z ukrycia. Zdaje się, że tylko mój brat pozostał przy życiu z całej szóstki. Po wyzwoleniu pospieszył do Lagedi, odszukał dziennik i przywiózł go do Wilna. Bardzo trudno było go odczytać, tak małe były literki. Pokazaliśmy go Abie Kownerowi.

Tymczasem w Lagedi zakwaterowano nas w barakach bez podłóg czy ław – spaliśmy na gołej ziemi. Jedzenie było lepsze w porównaniu z innymi obozami. Poza samym obozem mieszkał wraz z rodziną sierżant SS – Estończyk. Na podwórku jego domu była kuchnia polowa z paleniskiem i kotłami. Moja praca znowu polegała na przygotowaniu drewna na opał. Jej zaletą było to, że wszyscy



trzej, którzy się tym zajmowaliśmy, mogliśmy korzystać z resztek jedzenia, które zostawały w kotłach po rozdzieleniu żywności. Ojciec i brat pracowali w środku obozu.

Po około trzech tygodniach, gdy byliśmy zajęci naszą pracą poza obozem, przyszedł Niemiec i rozkazał nam udać się natychmiast do obozu. Powiedział coś o ewakuacji. Zrozumieliśmy, że znów nas przenoszą. Pospiesznie wróciłem do obozu, żeby złapać ojca i brata. Okazało się, że ojciec został już wysłany z pierwszą grupą. Nisan skaleczył się i w ten sposób mógł na mnie zaczekać. Na drogę po raz pierwszy każdy z nas dostał bochenek chleba, marmoladę i cukier.

Załadowano nas do ciężarówki: ciężarówka kobiet, ciężarówka mężczyzn. Jechaliśmy na stojąco, w strasznym ścisiku, strażnicy razem z nami. W czasie jazdy – jak zwykle – nasuwały się różne domysły na temat celu i powodu podróży. Nie sądzę jednak, by trafiła nas jakaś szczególna troska, gdyż wszystko, całe życie uczuciowe zostało w nas bardzo stępione.

Coś się zepsuło w ciężarówce wiozącej kobiety i nasz kierowca zatrzymał się, żeby pomóc koledze. Było już po południu i naprawa potrwała do zapadnięcia zmroku. Potem pojechaliśmy dalej, aż na skraj lasu. Z lasu wyszedł Niemiec, zatrzymał samochody i powiedział:

– Tutaj robota skończona. Jedźcie dalej! Do Tallina!

Nie zrozumieliśmy, jaka robota została w tamtym miejscu skończona. Po wojnie brat zaczął szukać ojca i dowiedział się, że w tym miejscu wysadzono pierwsze transporty więźniów i zastrzelono ich na wielkiej porębie. Ojciec był wśród nich. Stało się to 18 września 1944 r., tylko dwóch ludzi się uratowało: Ariel Szymonowicz, który został lekko ranny, oraz Rothbord, trafiony w kark, któremu udało się uciec do lasu.

Ariela Szymonowicza spotkałem później w obozie Klooga. Opowiedział mi, że razem z synem został przewieziony na ową polanę. Niemcy wzięli po około 10 osób, jedną do drugiej, i kazali wejść na stos wcześniej przygotowanych drewnianych pali. Kiedy ludzie usiedli na palach, strzelali do nich. Potem podpalali stosy. Gdy strzały umilkły, Ariel zdał sobie sprawę, że jest tylko ranny. Niemcy poszli po benzynę, a on wypętlzył z miejsca straceń i dobrnął do lasu, skąd widział wielkie ognisko na polanie, z której uciekł. Przez kilka dni ukrywali go estońscy chłopcy, a gdy weszła Armia Radziecka, został umieszczony w szpitalu. Po tygodniu przewieziono go do Kloogi.

Niemcy przewieźli nas do więzienia w Tallinie, gdzie przenocowaliśmy. Przestraszyliśmy się, gdy ktoś nam powiedział, że znajdujemy się w oddziale skazanych na śmierć. Rano daje się zauważyć poruszenie wśród Niemców – zdenerwowanie, bieganina, pospieszne narady. Oczywiście wiedzieli to, czego my mogliśmy się co najwyżej domyślać – że Armia Czerwona jest już blisko. Załadowano nas na ciężarówki i pod wzmożoną strażą, z esesmanami z przodu i z tyłu, przewieziono z powrotem do Kloogi. W bramie obozu zobaczyliśmy, że plac jest pełen więźniów. Zebrano chyba 2500 ludzi, w grupach po 50 osób, wszyscy na klęczkach z rękami założonymi za głowę. Nas usadowili pod ogrodzeniem bloku żeńskiego. Następne były grupy kobiet. One też musiały klęczeć obok nas. Od innych więźniów dowiedzieliśmy się, że zanim nas przywieziono, wyprowadzili za bramę 300 ludzi. Widziałem ich, jak przechodzili po drugiej stronie ogrodzenia. Każdy z nich dźwigał na ramieniu kłoc drewna lub duży pień. Przesuwali się ciężkim krokiem, aż zniknęli nam z oczu. Jeden spróbował ucieczki i został natychmiast zastrzelony. Widzieliśmy jak się zgina i pada.

Nasz wujek, Wołodia Poczter, dostrzegł nas i zbliżył się niemal pełzając. Wyciągnął z kieszeni zegarek i dał go mojemu bratu, szepcząc: – Ja go już nie potrzebuję – po czym wrócił do swojej grupy. Mam ten zegarek do dziś.

Żołnierze z bronią gotową do strzału odprowadzali jedną grupę po drugiej w stronę pobliskiego lasu. Znikali w lesie i słychać było strzały z automatów. Przez głowę przemknęła mi myśl: właśnie likwidują nas, stoimy w kolejce do...

Między więźniami narastał niepokój. Między mną i bratem do tej pory panowała zgoda – to on jest tym, który prowadzi, on jest przywódcą. Patrzę na niego i widzę, że nie reaguje. Biorę więc inicjatywę w swoje ręce i mówię do niego: – Nisan, uciekamy. Oddaliśmy się od grupy, najpierw ja, za mną brat. Za nami jeszcze około dziesięciu czy dwudziestu więźniów. Najpierw niepewnie, potem biegiem. Dopadliśmy dwupiętrowego budynku mieszkalnego, cały czas przekonani, że Niemcy nas gonią, że za chwilę usłyszymy strzały i granaty. Na ostatnim piętrze wcisnęliśmy się pod najniższą prycę, wolną przestrzeń między łóżkiem a podłogą, zakrywając derką i poduszkami. Z parteru rozległy się strzały. Serie strzałów i cisza. Tak wielka, że aż dzwoniło w uszach. Kiedy po wielu godzinach odważyliśmy się wyjść z ukrycia, spostrzeżliśmy, że także pod innymi pryczami leżeli

ukryci Żydzi, przez okno zobaczyliśmy jężory ognia wydobywające się z lasu. Jeden z więźniów wyszedł na zwiad. Po powrocie opowiadał o mnóstwie zwłok w budynku i na dziedzińcu. Okazało się, że ostatniej grupy już nie zaprowadzili do lasu – wystrzelali ich na dziedzińcu. Ja również wyszedłem. Natknąłem się na trupa kobiety z niemowlęciem w ramionach. To nie była Żydówka. Jak się zdaje. Jedna z więźniarek przebrała się w znalezione cywilne ubranie i wyszła zobaczyć, co się dzieje. Wróciła krzycząc – Nie ma Niemców!

Był to dzień 22 września 1944 roku.

Pierwszych sowieckich żołnierzy, jacy się pojawili, zaprowadziliśmy przede wszystkim do lasu. Najpierw natknęliśmy się na resztki spalonego domu. Zobaczyliśmy tylko fundamenty, komin, kości i niedopalone zwłoki. Po kilku dniach usłyszeliśmy od Abrahama Wapnika, że on i Żyd nazwiskiem Icyk Obielewicz uratowali się właśnie z grupy więźniów wprowadzonych do tego domu. Niemcy wprowadzali ich jednego za drugim. Przed nim wszedł jego ojciec. Strzelali do nich. Abraham dostał kulę w kark. Ranny leżał pod ciałami. Niektórzy jeszcze konali na nim i czuł ich przedśmiertne drgawki. Próbował strząsnąć z siebie ciała i przebić się do wyjścia. Zdołał się uwolnić, Niemcy oddalili się po benzynę i nie zauważyli, kiedy wyskoczył przez okno. Dopiero po chwili zaczęli strzelać, ale nie trafili i udało mu się uciec w głąb lasu.

Szliśmy z sowieckimi żołnierzami dalej w las, aż zobaczyliśmy trzy stosy. Drewno częściowo nadwęglone, a wśród kłoców spalone zwłoki ludzkie. Każdy stos zbudowany był z wielkich drewnianych bali, a pośrodku rodzaj wysokiego komina z żerdzi dla przepuszczania powietrza podczas spalania. Niemcy zmusili ludzi, by kładli się na tych kłocach, twarzami na zewnątrz i strzelali do każdego z osobna. Na warstwę trupów i niedobitków znowu nakładali pniaki, przychodziła następna warstwa ludzi i tak cztery razy. Na te stosy Niemcy wylali benzynę i podpalali je.

Ogień jeszcze się tlił. W środku stos wypalił się całkowicie, do samej ziemi, natomiast w czterech rogach pozostał niemal nienaruszony. Niektórzy przed zastrzeleniem nakryli sobie oczy czapkami. Widok był przerażający. Rozpoznaliśmy kilku naszych kolegów. Naokoło leżały ubrania ofiar – wierzchnią odzież kazano im zdjąć, obok dokumenty i fotografie. W pewnej odległości zobaczyliśmy jeszcze jeden stos. Pniaki leżały równo ułożone, pośrodku „komin”. Zrozumieliliśmy – to stos przygotowany dla nas. Na niedalekim polu leżały

zwłoki kobiet. Próbowaly ratowac się ucieczką, ale wszystkie zostały zastrzelone. Ani jeden człowiek nie uratował się z tego miejsca.

W ten sposób zamordowano 2500 ludzi. Nie płakaliśmy na widok tej Doliny Płaczu. Już nie potrafiliśmy. Ale żołnierze buchnęli płaczem, stojąc przed tym przerażającym obrazem. Klooga był jednym z pierwszych wyzwolonych obozów śmierci. Oficerowie polityczni Armii Czerwonej prowadzili tam i do pobliskiego lasu oddziały żołnierzy, żeby zobaczyli oblicze wroga, przeciwko któremu walczą. Przybyli także dziennikarze. Przyszło trochę uratowanych z innych obozów. Opowiadaniom nie było końca. We mnie rozgorzała żądza zemsty. Poszedłem do Lagedi schwytać estońskiego sierżanta, u którego pracowałem. Umknął. Pozostali tylko członkowie jego rodziny. Powróciłem do Kloogi. Po miesiącu przewieziono nas do Wilna.

Opracował **Dawid Kulawczuk**